

MICHAŁ GŁOWIŃSKI, GRZEGORZ WOŁOWIEC*

O polskim strukturalizmie

G.W.: Rozmawiamy o strukturalizmie. Zacznijmy od wyjaśnienia terminu.

M.G.: Wtedy, kiedy ja i moi koledzy zaczynaliśmy swoją pracę, termin był znany i był już historyczny, mówiło się o strukturalizmie praskim. Charakterystyczne, nie czeskim, lecz praskim.

G.W.: W 1926 roku powstało Praskie Koło Lingwistyczne, nawiązujące do strukturalizmu Ferdynanda de Saussure'a.

M.G.: Nie sami Czesi go tworzyli, by wspomnieć choćby Jakobsona. Współdziałał z nimi wielki fonolog, książę Trubieckoj (nie ukrywał swojego arystokratycznego tytułu). Myśmy o tym wiedzieli, ale czy myśmy się nazywali strukturalistami? Nie. Byliśmy świadomi, czego chcemy, do jakiej tradycji nawiązujemy, nie mieliśmy żadnej potrzeby nazywania się. Nie ze względów taktycznych, po prostu to było niepotrzebne i to nas różniło od marksistów. W systemie, w którym marksizm jest metodologią faworyzowaną, w jakimś sensie rządową, w jakimś sensie partyjną, oświadczenie „jestem marksistą” znaczyło coś więcej niż tylko deklarację metodologiczną. Aczkolwiek w okresie, o którym mówię, mogło już być w zasadzie wyłącznie samookreśleniem naukowym bez przybudówek polityczno-ideologicznych. Myślę, że jeśli ta nazwa była stosowana, a była stosunkowo wcześniej, bo już w latach sześćdziesiątych mamy ślady tego, między innymi w paszkwilu, mówiąc ironicznie, prekursorskim o podtytule *Pamflet na strukturalistę*. Osobne deklaracje były nam niepotrzebne. Myśmy wiedzieli, czym chcemy się zajmować – szeroko rozumianym tekstem dzieła literackiego i jego językiem, chcemy zajmować się znaczeniem jego elementów i znaczeniem jego całości. Szybko ujawniało się charakterystyczne nieporozumienie, świadczące o naiwności pewnych komentatorów czy przeciwników. Mianowicie, tego rodzaju program traktowany był jako deklaracja estetyzmu, co nie odpowiadało rzeczywistości, bo nikomu z nas nie przyszło na myśl, że my się możemy zajmować pięknem utworu literackiego. Wiedzieliśmy, że utwory literackie to rzecz wartościowa, piękna, godna szacunku, warta komentarzy, raz lepsza, raz gorsza, ale problematyka piękna była dla nas odległa, nie podejmowaliśmy jej. Ujawniał się tutaj schematyzm myślenia tych, którzy młodych wtedy historyków literatury o taki estetyzm oskarżali. Punktem odniesienia tego typu zarzutów była nauka o literaturze,

* Prof. dr hab. Michał Głowiński (mg@michal.glowinski.vdl.pl), dr hab. Grzegorz Wołowiec (grzegorz.wołowiec@ibl.waw.pl) – Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa

w której mówiło się o celach społecznych, o ideologiczności itd. Myśmy tego nie kwestionowali jako przedmiotu zainteresowań badacza literatury, co pokazał dalszy rozwój tego, tak zwanego strukturalizmu, natomiast nie byliśmy kontynuatorami krytyki młodopolskiej, dla której ważna była ekspresja czy program „sztuki dla sztuki”. To świadczyło nie o nas, tylko o tych, którzy na nas niechętnie patrzyli. Jak mi się wydaje, to nieporozumienie stopniowo wygaszło.

W wielu przypadkach takie nazwy, jak strukturalizm, strukturaliści, przychodzą z zewnątrz. Tak jest i w sztuce, i w nauce. Klasycznym przykładem jest to, że nazwa prądu „impresjonizm” w swych pierwszych użyciach była oskarżeniem, chodziło o to, że to jest malarstwo dalekie od realizmu. Negatywna etykieta została uogólniona i przyswojona przez grupę artystów, stając się nazwą jednego z najważniejszych prądów w malarstwie. W nauce jest podobnie. Ciekawe zjawisko, że temu, co się nazywało strukturalizmem, sprzyjało w latach sześćdziesiątych wiele czynników. Przede wszystkim, przesyt zideologizowanym dyskursem. Po prostu, pracownicy naukowcy, nauczyciele (zwłaszcza młodszy) czuli nadmiar tego, co też miało swoiste konotacje polityczne. To, co się nazywało formalizmem, strukturalizmem, było wotum nieufności wobec zideologizowanego literaturoznawstwa. Nie lubię tego słowa, bo ono źle brzmi. „Językoznawstwo” się przyjęło, „literaturoznawstwo” jest dla mnie sztuczne. Słowo źródło ma niemieckie, ale przyszło do nas przez Rosję.

G.W.: W Rosji posługiwali się nim nowatorscy metodologicznie badacze literatury, którzy chcieli się odróżnić od nauki tradycyjnej. Przede wszystkim formalisci.

M.G.: Brzmi to po polsku sztucznie. Gdy pada pytanie, czym się pan zajmuje, zawsze odpowiadam, że jestem historykiem literatury, nazwa „historia literatury” nie musi oznaczać w dokładnym sensie historii, lecz – ogólnie – naukę o literaturze. Chciałbym mówić o tym, co sprzyjało strukturalizmowi. Przede wszystkim znużenie marksizmem ideologicznym, nawet w wersji *light*. Wyszukiwanie determinantów klasowych, zmitologizowana kategoria realizmu, czego przejawem było, że nawet stworzono coś, co się nie przyjęło, mianowicie kategorię realizmu romantycznego. Można było standardowo mówić o realizmie młodopolskim, ekspresjonistycznym, awangardowym, Bóg wie jakim. Słowo realizm utraciło wszelkie znaczenie. To była pierwsza przyczyna. Druga, to były przemiany w dydaktyce uniwersyteckiej, o czym niekiedy się zapomina, ale to był czynnik bardzo ważny. Po 1955 roku zaczęły powstawać katedry poetyki, których w zasadzie przedtem nie było. Różnie się nazywały, teorii literatury, poetyki, bądź jeszcze jakoś inaczej. Trzeba tu przyznać pierwszeństwo profesor Stefanii Skwarczyńskiej, która taką katedrę założyła tuż po wojnie, została ona zlikwidowana w ramach stalinizacji życia akademickiego. W 1955 roku Kazimierz Budzyk przy pomocy Marii Renaty Mayenowej, sądzę, że też przy dużej aprobacie ze strony Stefana Żółkiewskiego, założył katedrę teorii literatury na Uniwersytecie Warszawskim. Potem była reaktywowana katedra

w Łodzi i wreszcie zaczęły powstawać najróżniejsze katedry wyspecjalizowane w zajmowaniu się poetyką. Zajęcia z poetyki nigdy nie zostały zlikwidowane, jestem tu dobrym świadkiem, bo wtedy byłem studentem, ale w licznych przypadkach były one prowadzone przez osoby niekompetentne. Miałem to szczęście, że trafiłem jako student drugiego roku do grupy prowadzonej przez osobę świetnie przygotowaną, przez uczennicę Manfreda Kridla, doktor Marię Rzeuską. Wtedy właśnie zainteresowałem się tą problematyką. Zajęcia Rzeuskiej miały charakter propedeutyczny, to nie były zajęcia z interpretacji, to były przykładowe analizy, w pierwszym semestrze utworów wierszowanych, w drugim opowiadań. Pani doktor Rzeuska wybrała pięć wierszy z różnych epok, polskich oczywiście, a potem jedno czy dwa opowiadania pisarzy pokolenia pozytywistycznego. To były analizy przykładowe. Dzisiaj by one mi się wydały bardzo szkolne, ale to, że były szkolne, stanowiło ich zaletę. Dzięki tym analizom wprowadzała podstawowe kategorie, którymi można i trzeba posługiwać się w opisie dzieła literackiego. Wspominam Marię Rzeuską z dużą wdzięcznością, ale, jak pamiętam, w tych moich rocznikach zajęcia z poetyki prowadziły osoby często przypadkowe. To nie dało się dłużej utrzymać, zwłaszcza że przełom 1956 roku radykalnie wpływał na polepszenie uniwersytetów, również polepszenie dydaktyki, więc osoby, które potrafiłyby się tym kompetentnie zajmować, stały się na wagę złota. To, myślę, bardzo korzystnie wpłynęło na rozwój tego typu umiejętności i tego typu zainteresowań.

G.W.: Istnieje jakaś inna poetyka niż strukturalistyczna?

M.G.: Arystotelesa.

G.W.: Poetyka Arystotelesa jest właściwie z ducha strukturalistyczna, w podobny sposób analizuje budowę dzieła literackiego i jego poszczególnych elementów, traktowanych jako składniki pewnej funkcjonalnej całości.

M.G.: To już tak jest, że historię odleglejszą ogląda się przez pryzmat historii nowszej. Dla mnie to brzmi bardzo pięknie, że Arystoteles był pierwszym strukturalistą.

G.W.: Mówię to na serio, przemyślałem tę sprawę, ucząc studentów teorii literatury, w tym poetyki Arystotelesa.

M.G.: Bardzo się cieszę, że to mówisz. To jest przyjemnie mieć wielkiego patrona, genialnego. Tu już się ujawniała pewna może nie sprzeczność, ale właściwość, zwłaszcza wczesnych badań strukturalnych w Polsce, że z początku nie chodziło o interpretację dzieła literackiego, co dotyczy również w dużej mierze formalizmu rosyjskiego, bo już w strukturalizmie czeskim to było bardziej pokomplikowane. Maria Rzeuska nie zajmowała się, w tym była przykładową uczennicą szkoły warszawsko-wileńskiej z lat trzydziestych, interpretacją tych pięciu wierszy, które wybrała do analizy, zajmowała się tym, co nazywam analizą przykładową. Myślę, że również większość analiz dokonywanych przez formalistów rosyjskich to są analizy przykładowe, łącznie z takimi arcydzie-

łami opisu dzieła literackiego, jak artykuł Borysa Eichenbauma *Jak jest zrobiony „Płaszcz” Gogola*. To jeden z klasycznych tekstów formalizmu rosyjskiego. Eichenbaum zadaje pytanie: jak na przykładzie tego utworu Gogola, który jest arcydziełem, pokazać to, co jest charakterystyczne dla tekstu narracyjnego.

G.W.: Jako student czytałem to na zajęciach z poetyki.

M.G.: Nie czytałem tego jako student, czytałem później. Jest to tekst o walorach dydaktycznych niebywałych. Powiedziałbym, że już wtedy zaczęło się zarysowywać różnicowanie charakterystyczne dla tego, co umownie nazywa się strukturalizmem. Można je rozmaicie charakteryzować. Z jednej strony, że są to badania czy opisy, które dotyczą tylko tego, co jest istotne jako pewne użycie języka, jako pewien przypadek posługiwania się mową. Z drugiej strony, że jest to ważne przy opisie konkretnych utworów, przy dociekaniu, jakie one mają znaczenia, jak są zrobione, mówiąc za Eichenbaumem, ale nie po to, żeby dać wykład ogólny, ale by się zastanowić, jak rzeczy się mają w konkretnym, jednostkowym przypadku. Trudno przeczyć temu, że literatura jako zbiór tekstów nie jest tylko zespołem tak zwanych chwytów, ale że teksty są bytami osobnymi. Można pokazywać na największych arcydziełach, jak się kształtują ogólne chwytły, ale żeby się czegoś o arcydziele dowiedzieć, trzeba iść dalej, trzeba je zinterpretować.

G.W.: Można myśleć systemowo i można uprawiać interpretację. Jedno z drugim jest mocno związane. Teorią interpretacji zajmował się w wielu fazach swojej działalności naukowej Janusz Sławiński.

M.G.: To jest chyba główna sprawa, przynajmniej polskiego strukturalizmu. Mówiłbym jeszcze o okolicznościach sprzyjających rozwojowi poetyki w Polsce. Studia polonistyczne na wszystkich uniwersytetach obejmowały poszerzone zajęcia z poetyki, z tym że różne były stopnie zaangażowania. Zespół iblowski miał szczególny kontakt z tym, co się działo na uniwersytecie w Poznaniu. Uformowała się tam silna, świetna grupa badaczy, którzy zajęli się tą problematyką, takich jak Edward Balcerzan, Janina Abramowska, Seweryna Wysłouch i wielu innych. Niekwestionowanym przywódcą tej grupy został Jerzy Ziomek, który w okresie stalinowskim zaczynał swą twórczość jako radykalny marksista. Przeniesiono go z Wrocławia na Uniwersytet Poznański, żeby wzmocnić marksistowską naukę o literaturze. W Poznaniu pracowali cenieni przedwojenni profesorowie, mieli oni młodych współpracowników, których marksizm nie przyciągał. I wtedy wkroczył Jerzy Ziomek mający wzmocnić jedynie słuszną naukę o literaturze i jej przewodzić. Stało się coś innego. Był przez dziesięciolecia wielkim autorytetem, uczestnikiem i patronem nowatorskich badań. Mówiłbym o tym, co się wtedy kształtowało, czyli o polskim strukturalizmie jako o szkole warszawsko-poznańskiej. Wiadomo, do czego tu nawiązuję.

G.W.: Do szkoły warszawsko-lwowskiej w filozofii i logice.

M.G.: My takiej pozycji światowej nie zajęliśmy jak polscy matematycy i logicy, ale pewna analogia tu jest. Myślę, że ta współpraca odgrywała ważną rolę. Staliśmy przed tym samym problemem, jak analizować właściwości ogólne dzieła literackiego, a jednocześnie nie pomijać tego, co w dziele literackim tak ważne, a mianowicie tego, co w nim jednostkowe. Mówiłbym tu o dwóch kierunkach, które się zarysowywały, również w Polsce od lat pięćdziesiątych. Nauka o literaturze nakierowana na systemowość i drugie nakierowanie, na to, co wiąże systemowość z tym, co indywidualne. Wydaje mi się, że ta dychotomia ujawniała się również w tym, co robiono w IBL-u.

G.W.: To jest podstawowa dychotomia metafizyczna tożsamości i różnicy, o czym głęboko pisała profesor Barbara Skarga. Byłem słuchaczem jej wykładów w Szkole Nauk Społecznych.

M.G.: Mój skromny rozum nie sięga tak głęboko, chcę podkreślić, że zróżnicowanie to było ważne i charakterystyczne. Wpływ na naszą grupę miały wykłady i rozprawy Romana Jakobsona. Uczony ten konsekwentnie twierdził, że poetyka jest jedną z poddyscyplin językoznawstwa, a jeśli jest jedną z poddyscyplin językoznawstwa, to zajmuje się, co prawda, specyficznymi użyciami języka, ale też kładzie się w niej nacisk na to, co systemowe. Jeśli się przegląda, zresztą bardzo wybitne, cenne i oryginalne prace Mayenowej, podobnie jak jej prace popularyzatorskie, to widać, że to, co ona robiła, mieści się w tego rodzaju ujęciu. Natomiast, jeśli się przyjmuje takie założenie, to analiza tekstu może być tylko analizą przykładową, nie może być analizą tego, co dane dzieło wyróżnia, czyli interpretacją. Tu też ujawnia się inne zjawisko. Pewne dziedziny poetyki przestają mieć uzasadnienie w jej obrębie. Jeśli ktoś się zajmuje strukturą fabuły, to nie może się ograniczyć do problematyki językowej. Jeśli ktoś się zajmuje relacją podmiot mówiący – podmiot odbierający, też do tej problematyki nie może się ograniczyć. Jeśli ktoś zajmuje się uwikłaniami kulturowymi tekstów, to tu oczywiście problemy językowe są nader istotne, ale nie są jedyne.

G.W.: Wyszliście więc poza Jakobsona i jego teorię języka poetyckiego jako jednej z funkcji języka ogólnego.

M.G.: Wyszliśmy poza Jakobsona radykalnie. Uważaliśmy, że trzeba się nad tym zastanawiać inaczej. Pewne dziedziny doskonale się mieszczą w Jakobsonowskiej koncepcji poetyki, by wskazać studia wersologiczne czy pewne typy studiów stylistycznych, natomiast już inne typy dociekań nie mieszczą się. To mi się wydaje bardzo ważne. Oczywiście, kategoria systemu była zawsze żywa, aktualna i nie mogło być inaczej, z tym że sam system, jeśli się go odnosi do literatury, jest rozumiany odmiennie niż w językoznawstwie, w folklorystyce, w etnologii. Na system językowy nie ma wpływu jednostka. Ktoś może mówić w sposób najbardziej oryginalny, to zmienia pewnego typu stylistykę, natomiast nie zmienia gramatyki, nie zmienia tego, co można by nazwać obowiązującym

wzorcem. Dopełniacz nie zostanie zastąpiony biernikiem, jeśli jakiś nawet najwybitniejszy człowiek miesza te dwa przypadki lub chce je do siebie upodobnić. Natomiast system literacki funkcjonuje inaczej. Z mojego punktu widzenia podstawową kategorią dla systemowości literatury są gatunki literackie, tu zaś dzieje się akurat odwrotnie niż w systemie językowym. Na przykład *Madame Bovary* Flauberta zmieniła system gatunkowy powieści.

Jak widzimy, kategoria systemu jest fundamentalna również dla nauki o literaturze, natomiast, jestem o tym głęboko przekonany, że nie należy jej mieszać z systemem językowym czy z jakimkolwiek systemem, który jest traktowany sztywno. Gdy się wychodzi z pozycji systemowych, to się nie interpretuje konkretnego utworu.

Tutaj przywołam przykład, który w latach sześćdziesiątych zdobył światową sławę. Mianowicie Roman Jakobson wspólnie z Claude'em Lévi-Straussem przedstawili analizę sonetu Baudelaire'a *Koty*. To się stała głośna sprawa, że dwaj czołowi uczeni z dwóch różnych dyscyplin zajmują się tym samym tekstem i piszą wspólnie rozprawę, która wywołuje rozległą dyskusję. O poetyce Baudelaire'a dowiadujemy się z niej niewiele. Jest charakterystyczne, że współautorem tej rozprawy jest etnolog, dla którego indywidualne innowacje są albo nieistotne, albo dalszoplanowe. W badaniach folkloru, inaczej niż w literaturze wysokiej, nie jest ważne to, co konkretny autor do tekstu wniósł, istotne jest to, jak tekst ów mieści się we wzorcach obowiązujących.

G.W.: Ważna jest nie innowacja, ale repetycja.

M.G.: W takim przypadku analiza *Kotów* mogła być tylko przykładem ogólnych mechanizmów, nie mogła się zajmować tym, co było innowacją Baudelaire'a. Różnica jest kolosalna.

G.W.: Nie o to, wam chodziło.

M.G.: Tak. Bez kategorii systemu nie ma porządnej wiedzy o literaturze, natomiast jeśli kategorię systemu się absolutyzuje, to powstaje nieudolna nauka o literaturze. Powiem coś, czego może nie wypada mówić, przykładem tego są późne prace Jakobsona, także o poezji polskiej. Pisał on dwukrotnie o Norwidzie i raz o Wierzyńskim. Interesowała go „gramatyka poezji”, czyli system językowy w ujęciu poetyckim w różnych językach. Był poliglota, korzystał zresztą ze współpracy różnych swoich uczniów i przyjaciół – i pokazywał, jak gramatyka funkcjonuje w tej jego koncepcji. Otóż, muszę powiedzieć, że późne prace Jakobsona, moim zdaniem, są niezbyt ciekawe. Rzadko się zdarza, że polskie wiersze są analizowane w pracach pisanych po angielsku, a więc dostępnych światowej publiczności, jednakże te prace z przedstawionych wyżej powodów nie funkcjonują nawet w Polsce. Jestem autorem artykułu napisanego w latach dziewięćdziesiątych do książki zbiorowej, rosyjsko-amerykańskiej, poświęconej Jakobsonowi, *Roman Jakobson w Polsce*. Moim zdaniem trzy teksty Jakobsona o polskich wierszach są martwe. Rozmawiałem na temat takiego pisania o poezji z wybitną lingwistką, profesor Jadwigą

Puzynina, zgodziła się ze mną. Po prostu, nie tędy droga. Myśmy to wiedzieli, najpierw intuicyjnie, a potem w sposób, by tak powiedzieć, bardziej przemyślany.

Kategoria systemowości ogarnia dziedziny nie tylko lingwistyczne. Dałbym tu przykład książki, która przełożona na angielski trzydzieści lat po pierwszym wydaniu w Leningradzie oddziaływała na naukę światową. Jest to książka genialna. Mówię o dziele Władimira Proppa, wydanym w 1928 roku, o pewnego typu baśniach w rosyjskim folklorze. Autor mistrzowsko pokazał, jak w nich są budowane fabuły i zaproponował nowe sposoby analizy. Był to wielki uczonej, jego książka jest pozycją klasyczną w humanistyce XX wieku. Jest ona dla badacza literatury książką inspirującą, przydatną, fascynującą, ale w pewnych tylko przypadkach. Mianowicie wtedy, gdy chodzi o ten typ wypowiedzenia literackiego, w którym ważne jest realizowanie przyjętych schematów, powtarzalność, identyczność. To się sprawdzało znakomicie w analizie folkloru, dawało wspaniałe narzędzia opisu pewnej części kultury masowej, literatury popularnej, gdzie działają wyraźne schematy. Natomiast jeśli ktoś chciał tymi narzędziami zanalizować wybitną powieść, byłby skazany na klęskę. One się do tego nie nadawały.

G.W.: Barthes pisał, idąc za Proppem, o powieściach Iana Fleminga o agencie 007, podobnie Umberto Eco.

M.G.: Pisał Todorov, jeden z genialnych Bułgarów, którzy się pojawili w Paryżu w latach sześćdziesiątych, dając przykład arcydzieła, ale takiego, które powstało w czasie, kiedy pisarz opracowywał znane wątki, nie musiał wymyślać nowych. Była to analiza *Dekameronu* Boccaccia.

G.W.: Analiza tekstu literackiego nie może się ograniczyć wyłącznie do pokazania tego, co w nim jest skonwencjonalizowane. Zarazem świadomość systemu literackiego, a więc obowiązujących w danym momencie norm pisarskich, jest niezbędnym składnikiem wyposażenia interpretatora.

M.G.: Myślę, że i samego pisarza w jakimś sensie. Powrócę do tego przykładu: w dziejach powieści *Madame Bovary* Flauberta jest pokazywana jako ta narracja, która przełamała schematy, stworzyła nowy typ opowiadania, wprowadziła wyraźnie punkt widzenia jako element statusu narratora itd. Proszę zanalizować *Panią Bovary* i to co po niej nastąpiło narzędziami, które wprowadził, jak powiadam, w genialnej pracy, Władimir Propp. Jest to niemożliwe.

G.W.: Umknie wszystko, co najważniejsze. Nie da się stworzyć, co w początkowej fazie strukturalizmu francuskiego postulowano, uniwersalnej gramatyki literatury.

M.G.: Tak, oczywiście. Takie próby były, ale one nie mogły się udać, nas one nie interesowały. Nie wiem, czy już wiedza, czy tylko intuicja odpowiedziały nam, że tego rodzaju rzeczy robić nie należy. Tutaj ujawnia się podstawowy problem tak zwanych poszukiwań strukturalnych, ich stosunek do hermeneutyki i problemów interpretacji

(Janusz Sławiński w tym kontekście o interpretacji napisał wiele wybitnych prac). Muszę powiedzieć, i to chciałbym podkreślić jako szczególną właściwość polskiego strukturalizmu czyli szkoły warszawsko-poznańskiej, że nie baliśmy się interpretacji. Badania ogólne dotyczące systemu łączyły się z uwzględnianiem tego, co indywidualne czy jednostkowe. Dla mnie kategoria powieści młodopolskiej była kategorią w jakimś sensie systemową, ale systemową w wersji lekkiej, zdawałem sobie sprawę, że ten typ systemowości jest bezpośrednio uzależniony od konkretnych tekstów i ich oddziaływania. Chciałem pokazać to, jak on jest przełamany. Główny wzorzec powieści młodopolskiej wypracował Żeromski i pisarze, na których oddziaływał, ale tworzyli autorzy, którzy przełamywali ten wzorzec na rozmaite sposoby. Czynił to Berent, czynił to Irzykowski, na swój dziwny sposób także Miciński. Uwzględnianie systemowości stało się współczynnikiem interpretacji. Pewne dziedziny wiedzy o literaturze niezwykle się rozwinęły pod wpływem strukturalizmu, ale też innych dążeń metodologicznych. Myślę o historii literatury staropolskiej. Była ona przez długi czas domeną zacnego postpozytywistycznego filologizmu i takich czy innych przyczynków. To się radykalnie zmieniło dzięki takim uczonym, jak Jerzy Ziomek, Czesław Hernas, Jan Błoński. Rola Błońskiego, zresztą dalekiego od strukturalizmu, jako autora monografii Sępa Szarzyńskiego, jest ogromna. Tutaj trzeba też wymienić studia Teresy Michałowskiej, myślę o jej pracach wcześniejszych. Nie o niby podręczniku o średniowieczu, bo sądzę, że to jest historia literatury niepotrzebnie rozdmuchiwana. Wiem, że ta książka spotkała się z dużym aplauzem, na marginesie dodam, że był to po części aplauz ideologiczny.

G.W.: Słyszałem kiedyś referat profesor Michałowskiej, w którym bardzo wyraźnie było słyhać tradycję strukturalizmu i semiotyki.

M.G.: Nie będzie przesady, gdy powiem, że mimo świetnego dorobku badaczy staropolszczyzny w świadomości niektórych osób strukturalizm połączył się z refleksją nad literaturą nowszą. Otóż w pewnym sensie wynikało to z przypadku. Nie jest to związek konieczny, bo można sobie wyobrazić w ten sam sposób pisaną historię poszczególnych kierunków literackich XIX wieku.

Strukturalizm francuski był od spraw interpretacji do pewnego momentu dość daleki. Posługiwałem się kategorią gramatyki literatury, analizując problematykę gatunków literackich, a to jest czymś innym. Sprawa strukturalizmu francuskiego jest niezwykle interesująca. On się szybko narodził pod obcymi, nie francuskimi impulsami. Z jednej strony był Jakobson, z drugiej za sprawą Jakobsona zainteresowanie formalizmem rosyjskim i szkołą praską. Dla rozwoju strukturalizmu francuskiego wielkie znaczenie miała antologia prac formalistów rosyjskich, którą wydał w Paryżu Tzvetan Todorov w roku 1965 tuż po przyjeździe z Bułgarii. Ta bardzo dobrze pomyślana książka silnie oddziaływała, załamała się wtedy pozytywistyczna nauka o literaturze, która we Francji przez długi czas dominowała.

G.W.: To się działo wtedy, kiedy ty byłeś przez kilka miesięcy w Paryżu. Tekst Barthesa *Wstęp do analizy strukturalnej opowiadania* jest z 1963 roku.

M.G.: To zaczęło oddziaływać trochę później. Ten tekst jest wspaniały, bo pokazuje tę możliwość w formie klarownej, czystej. Potem Barthes daleko odszedł od tego rodzaju analiz. Istnieje historia francuskiego strukturalizmu ogłoszona około roku 1990, jej autor nazywa się François Dosse. Uważam, że jest to książka marna, w której strukturalizm to wyłącznie sprawa francuska, może jeszcze Jakobsona, niewiele więcej. W tej książce nazwisko wielkiego czeskiego uczonego, wspaniałego badacza literatury Jana Mukařovský'ego w indeksie pojawia się tylko raz i to w wersji zniekształconej. Powiedziałbym, że jest to nacjonalistyczna i niemądra historia strukturalizmu, zresztą przełożona na angielski i zdaje się, wciąż funkcjonująca.

G.W.: Znam tę książkę, wydaną w dwóch okazałych tomach. Ona rzeczywiście prezentuje strukturalizm w perspektywie francuskocentrycznej jako kolejny wielki wkład tego kraju do kultury światowej. Trzeba jednak przyznać, że międzynarodowa kariera strukturalizmu w latach sześćdziesiątych to głównie zasługa Francuzów.

M.G.: To był chyba ostatni taki francuski sukces, jeszcze wtedy Paryż był centrum świata. Trzeba dodać, że prace Barthesa o tym, co wtedy było nowatorstwem literackim, są inspirujące i ważne. Jego eseje o *nouveau roman* kształtowały język krytyki literackiej, są świetne.

G.W.: Jest to autor do dzisiaj bardzo wpływowy, klasyczny. Całkowicie zasłużenie.

M.G.: To ktoś niezmiernie wybitny. Znałem go przez trzy dni.

G.W.: Właśnie! Ty go poznałeś.

M.G.: Byłem jego chłopcem na posyłki przez trzy dni w czasie jego pobytu w Warszawie (w roku 1965), dzięki temu z nim rozmawiałem. To był człowiek o zdumiewającej spostrzegawczości. Przyjechał pierwszy i jedyny raz do Polski. Jako młody człowiek radykalnie lewicowy był lektorem języka francuskiego w Bukareszcie, wtedy tam zaczął się komunizm. Szybko zorientował się, co się dzieje. Jego spostrzegawczość była zadziwiająca; będąc pierwszy raz w Polsce, wszystko świetnie dostrzegał. Jechaliśmy taksówką i przejeżdżaliśmy Nowym Światem przy skrzyżowaniu z Alejami Jerozolimskimi; on spojrzał na biurowiec KC i powiedział, ten gmach to musi być coś ważnego. Momentalnie interpretował tę rzeczywistość, którą oglądał. Podobna historia: postanowił zmienić trasę powrotu, musieliśmy pojechać dość późnym wieczorem na ówczesny Dworzec Główny, ten, który obecnie jest nieczynny. Ruch był wielki, odchodził pociąg na wschód, do Związku Radzieckiego. Barthes zobaczył babuszki w jakichś innych strojach i tym się zainteresował, może jako autor książki o modzie, mimo że to było zaprzeczenie mody, i powiedział, o, te kobiety to są jakieś inne, to nie są Polki. To był 1965 rok, on miał wtedy równo pięćdziesiąt lat, Warszawa była miastem ponurym,

biednym, szarym, ale mimo wszystko te kobiety, które chodziły po ulicach, jakoś nieźle się prezentowały. On to momentalnie zauważył. Z wielką bystrością komentował świat sobie nieznanemu.

G.W.: Miał oko semiotyka.

M.G.: Wtedy było w Warszawie niewiele restauracji. Poszedłem z nim wieczorem do restauracji niedaleko Filharmonii. Było to ponure gmaszysko, szło się jakimś korytarzem, usiedliśmy przy stoliku, nikt się nami nie zainteresował przez co najmniej trzy kwadransy. Usłyszałem wtedy: tutaj widzę, czym jest świat Franza Kafki. To był naprawdę genialny człowiek. Mam jego książkę z dedykacją (*Essais critiques*).

G.W.: „Michałowi Głowińskiemu z przyjacielskim wspomnieniem naszego spotkania, z wdzięcznością za przyjęcie, jakie mi zgotował, życząc mu dobrej pracy nad powieścią, 29 sierpnia 1965.” On był wtedy światową gwiazdą.

M.G.: Z Jakobsonem już byliśmy oswojeni. Konferencja semiotyczna Mayenowej w roku 1965 odbywała się na którymś z niskich pięter Pałacu Kultury, obrady już się zaczynały; pamiętam wejście Jakobsona z Barthesem, spotkali się na lotnisku, przedtem osobiście się nie znali. To było wspaniałe *entrée*, z tym że większość osób myślała, że to jest któryś z asystentów Jakobsona. Roland Barthes w tamtym czasie bardzo młodo wyglądał.

G.W.: Nie wiem, kto by to musiał być dzisiaj, żeby wywołać podobny efekt.

M.G.: Myślę, że takich w klasie światowej autorytetów jak Jakobson i Barthes dzisiaj nie ma. Pamiętam inne wejście. Też spóźnieni przyjechali dwaj stosunkowo młodzi ludzie, jeden brodaty. Okazało się, że to również wybitni uczeni, ale z drugiej strony świata, mianowicie Iwanow i Toporow, wspaniali rosyjscy semiologowie. Pragnę dodać, że podczas konferencji w Jabłonie też byłem chłopcem na posyłki również wybitnego człowieka, mianowicie takiego, który odegrał pewną rolę historyczną trzydzieści lat później, już w wieku sędziwym, Dmitrija Lichaczowa. Pamiętam, że musiałem go zaprowadzić do ambasady sowieckiej, bo oni od niego czegoś chcieli, on był, biedak, tym zdenerwowany. Lichaczow na mnie zrobił również duże wrażenie, cieszył się autorytetem naukowym, jakoś w Sowietach był uznawany, oficjalnie funkcjonował, zajmował się literaturą staroruską, która budziła relatywnie mniejsze zainteresowanie cenzorów i strażników ideologii. To, że ci wybitni ludzie przyjeżdżali do Polski, jest zasługą Stefana Żółkiewskiego, te kontakty urwały się w 1968 roku. On brał za nie polityczną odpowiedzialność i przyznawał pieniądze. Ostatni przyjazd wybitności przypadł na lato 1968 roku. Ja się temu nie przysłuchiwałem, działały wokół okropne rzeczy. Wiem, że wtedy przyjechał wielki lingwista, zupełnie inny niż Jakobson, mianowicie Emile Benveniste. Przyjechał też młody Umberto Eco. W latach późniejszych był wielokrotnie w Polsce, to był jego pierwszy pobyt. W ten sposób zakończyła się ta świetna konferencyjna seria.

Po Marcu Żółkiewski stracił wszystkie funkcje i stanowiska, Mayenowa przestała być wicedyrektorem IBL-u, kontakty z zagranicą stawały się znowu podejrzane.

G.W.: Mówiliśmy o szkole warszawsko-poznańskiej, ale była to też w jakiejś mierze szkoła lubelska.

M.G.: Lubelska w mniejszym wymiarze; chciałbym tutaj parę ciepłych słów powiedzieć o polonistyce lubelskiej, czyli konkretnie o KUL-u. Działo tam dwoje wyróżniających się uczonych rodem z Wilna. Myślę o Czesławie Zgorzelskim, którego miałem dużą przyjemność znać osobiście. Poza wszystkim, że był wybitnym uczonym, był niezwykle sympatycznym człowiekiem; myślę też o Irenie Sławińskiej. Mnie jest łatwiej mówić o tym, co się wiąże z profesorem Zgorzelskim niż o profesor Sławińskiej, którą również znałem osobiście. Zgorzelski był kontynuatorem Kridla, od młodości świetnym znawcą formalizmu rosyjskiego. Pozostał wierny wileńsko-warszawskiemu prestrukturalizmowi. Jako badacz napisał niewiele prac uogólniających, był typowym interpretatorem. Na romantyzm patrzył nie jako historyk idei, czym się różnił od kręgów skupionych wokół Marii Janion. Widział w nim szczytowy punkt ewolucji poezji w Polsce. Od profesora uniwersytetu katolickiego może wypadło oczekiwać jakiejś szczególnej roli przypisywanej wątkom religijnym. Otóż w przypadku Zgorzelskiego, który – o ile wiem – prywatnie był szczerze pobożnym człowiekiem, te wątki niemal się nie pojawiały. Chciałbym podkreślić, że on miał grupę znakomitych uczniów.

G.W.: Na przykład profesora Ireneusza Opackiego. Teraz rozumiem, skąd strukturalizm na Uniwersytecie Śląskim. Dzięki Opackiemu, przez Zgorzelskiego od Kridla.

M.G.: Tak. W latach pięćdziesiątych wokół Czesława Zgorzelskiego skupiła się znakomita grupa uczniów. Jeden z moich najbliższych kolegów w IBL-u, Zdzisław Łapiński jest właśnie z tej szkoły, aczkolwiek, zdaje się, jego mistrzynią była profesor Sławińska. Wymieniłbym tu, jeśli chodzi o badania nad romantyzmem, szczególnie dwóch uczonych, autorów kapitalnych prac. Mianowicie, Ireneusza Opackiego, który w pewnym momencie przeszedł z KUL-u do Katowic i ma wielkie zasługi dla polonistyki śląskiej. I drugiego, zmarłego przed kilku laty Mariana Maciejewskiego, który napisał stosunkowo niewiele, ale jego prace są najwyższej jakości.

G.W.: Więc źródło strukturalistyczne wybiło także w dość nieoczekiwanym trochę miejscu, jak KUL.

M.G.: To tak wygląda, kiedy się patrzy dzisiaj, natomiast, kiedy osoby w pełni zlaicyzowane, jak ja, patrzyły na polonistykę KUL-owską, to dla mnie nie było ważne to, że ona jest katolicka, dla mnie było ważne to, że tam pracują wybitne osoby, które nie podporządkowują badań literackich nie tylko dyskursowi ideologicznemu, ale też dyskursowi religijnemu. Wtedy polonistyka KUL-owska była domeną swobody. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza zrobiono wiele, żeby zasługi tego uniwersytetu zostały i przyciemnione,

i zapomniane. I wtedy, i dzisiaj polonistyka KUL-owska budzi respekt, może nie ma tam w tej chwili takich indywidualności, jak Zgorzelski i Sławińska czy Stefan Sawicki, który jest obecnie nestorem. Instytut Badań Literackich od początku lat sześćdziesiątych, od kiedy to było możliwe, z polonistyką KUL-owską ściśle współpracuje, co w innych dyscyplinach nie stanowiło reguły.

G.W.: Współcześnie pisane, że tak powiem, światowe historie strukturalizmu literaturoznawczego zaczynają się zazwyczaj od francuskiej narratologii, która traktowana bywa tam jako jego najbardziej wyrazisty, dobitny przejaw. U nas to jednak inaczej wyglądało.

M.G.: Mówiliśmy już o tym sporo. Zupełnie inaczej wyglądało, dlatego że w Polsce badania strukturalistyczne nie miały tak systematycznego i tak sztywnego charakteru, jak we Francji. Były też dużo wcześniejsze. Pamiętamy znaną tezę Irzykowskiego o plagiatowym charakterze przełomów literackich w Polsce. Nie chcę tutaj zastanawiać się nad jej zasadnością, pewien jestem wszakże, iż nie stosuje się ona przynajmniej od lat trzydziestych XX wieku do nauki o literaturze. Mówienie o polskim strukturalizmie w związku ze strukturalizmem francuskim jest uleganiem pewnemu stereotypowi i łatwą myślową. To jest wielkie uproszczenie. Po prostu temu i owemu nie przychodzi do głowy, że w tym wypadku nauka w Polsce mogła wyprzedzić naukę we Francji. Pragnę sformułować swoje pretensje do podręcznika napisanego przez tandem autorski Michała Pawła Markowskiego i Annę Burzyńską. W nim o nauce polskiej nie ma prawie nic. W pewnym sensie rozumiem to jako objaw psychologiczny, autorzy chcieli pokazać swoją światowość, a więc uznali, że to, z czego wyrosli, to, co stanowiło ich intelektualne najbliższe otoczenie, jest zaściankiem. Człowiek światowy o zaścianku nie pisze! A ja myślę, że jest akurat odwrotnie, że ten, kto jest na poziomie światowym, nie umniejsza i nie ukrywa tego, co stanowiło jego punkt wyjścia. Jakie jest oddziaływanie *Teorii literatury XX wieku* Burzyńskiej i Markowskiego? Sądzę, że gdyby trochę więcej napisali o tym, co się działo w Polsce, ta książka miałaby lepszy odbiór jako podręcznik dla studentów polskich uniwersytetów – i nie tylko polskich. Myślę, że owo programowe przemilczenie nie pomogło tej książce w zrobieniu kariery światowej. Nie wiem, czy była tłumaczona na jakiś język, wątpię. Myślę, że autorzy sami zaszkodzili sobie. Przypuszczam, że gdyby tego rodzaju syntezę pisali autorzy węgierscy czy gdyby tego rodzaju syntezę pisali autorzy czescy, to tam o tym, co się działo w ich krajach, byłoby dużo. Jedyń Ingarden, i dobrze, że przynajmniej on ocalał, ale trzeba pamiętać, że Ingarden dużo pisał po niemiecku, w języku kongresowym, więc tutaj może zarzut prowincjonalności był nie tak silny, jak w innych przypadkach. Dla mnie ta książka jest wątpliwa, między innymi, za sprawą takich ograniczeń.

G.W.: Autorzy podręcznika, o którym mówimy, przyjęli jako własną opowieść o dziejach myśli literackiej, a więc i o dziejach strukturalizmu, a potem poststrukturalizmu, wytwo-

rzoną na Zachodzie. Dokonało się to kosztem historii rodzimej nauki o literaturze, która klarowność tej zachodniej opowieści burzy, nie pasuje do niej, w niej się nie mieści. Polski strukturalizm jest wcześniejszy i odmienny od francuskiego. Stąd też, być może, to niemalże pominięcie polskich tradycji teoretycznoliterackich, poza Ingardenem, w ich wywodzie.

M.G.: Zjawisko, polegające na tym, że punktem wyjścia i programem jest nie własna oryginalność, tylko przenoszenie tego, co w danej chwili obowiązuje w Ameryce, w Anglii i Francji, określiłbym oksymoronicznie jako epigońską koncepcję nowatorstwa. Nie wiem, czy ono się nie objawia też w innych dziedzinach. Sądzę, że takie postępowanie ma wątpliwą wartość, pod tym względem ta książka jest dobitnym przykładem. W pewnych latach Polski Ludowej ideałem było przenoszenie do Polski przodujących wzorów nauki radzieckiej. Teraz nie jest to formułowane w sposób tak jawny i tak demonstracyjny, ale właściwie chodzi o przenoszenie wzorców. Ta światowość jest zresztą ograniczona, my na przykład zupełnie w tej chwili nie wiemy, co się dzieje w nauce w Rosji, jeśli chodzi o humanistykę, tam się niewątpliwie coś dzieje. O tym, poza profesorem Bogusławem Żyłką z Gdańska właściwie nikt nas nie informuje. I ta książka jest przykładem właśnie tego.

G.W.: Bagatelizuje historię polskiej teorii literatury.

M.G.: Trzeba pamiętać, że pierwszym manifestem zbiorowym strukturalizmu w Polsce była książka, która jest teraz rzadkością bibliograficzną, mianowicie, wydany w 1937 roku tom *Prace ofiarowane Kazimierzowi Wóycickiemu*. Jest to publikacja, która o polskiej nauce o literaturze świadczy jak najlepiej. Nie był to zbiór pomyślany w prowincjonalnej Warszawie czy w wileńskiej głuszy, grono autorskie mówi samo za siebie. To nie tylko młodzi Polacy, ci, którzy potem staną się wybitnymi uczonymi, ale światowi klasycy językoznawstwa i pośrednio nauki o literaturze. Między innymi, Roman Jakobson, Nikołaj Trubieckoj i młodzi Czesi, więc to jest książka pod tym względem niebywała. Trzeba też podkreślić rolę autorów, którzy strukturalistami nie byli, ale byli uczonymi klasy europejskiej. Myślę tu o Zygmuncie Łempickim, którego nazwisko w ogóle w książce Burzyńskiej i Markowskiego się nie pojawia, a powinno.

G.W.: Był jednym z prekursorów myślenia teoretycznego o literaturze w Polsce.

M.G.: Był to autor niezwykle ceniony w Niemczech. Pod tym względem ta książka jest nonszalancka i głęboko niesprawiedliwa, nieautentyczna. Jak na ironię, książka Burzyńskiej i Markowskiego dedykowana została Henrykowi Markiewiczowi, który był niezwykle rzetelnym historykiem nauki o literaturze, nauki obcej, ale również polskiej, którą cenil w najwyższym stopniu. On, z tego, co wiem, tą książką nie był zachwycony, bo ona sprzeniewierzała się temu, co robił. Markiewicz ogłosił historię teorii powieści w Europie, ale wydał też szczegółową historię teorii powieści w Polsce.

G.W.: Jest też autorem książki o dziejach nauki o literaturze w Polsce i licznych szczegółowych prac na ten temat.

M.G.: Markiewicz był rzetelnym uczonym, niewątpliwie nie chciał być modnisiem czy światowcem, bycie modnisiem i światowcem w nauce z merytorycznego punktu widzenia jest narażeniem się na klęskę. Ta książka klęski nie zaznała, ale na pewno nie spełnia zamierzeń ambitnych i utalentowanych autorów.

G.W.: Chciałbym Cię zapytać o to, jak się ma strukturalizm do semiotyki, nauki, z którą w pewnym momencie wiązano wielkie nadzieje.

M.G.: Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć. Myślę, że jest to pytanie wprawdzie dobrze postawione, ale nie ma na nie odpowiedzi, bo rzeczywistość jest nieklarowna. Przyjęcie, że cały świat ludzki jest światem znaków nie było odkryciem. Wiedzano to od dawnych czasów. Sformułowanie takiego hasła na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wydawało się czymś niezmiernie ważnym. Ten kierunek miał służyć unaukowieniu humanistyki i jej zintegrowaniu. Myślę, że zintegrowanie dokonało się tylko częściowo, natomiast teza, że świat kultury, świat ludzki jest światem znaków, stała się powszechnym przeświadczeniem, ale właściwie to wiele nie zmieniało i nie miało jakichś radykalnych konsekwencji. To jest teza niezwykle ogólna. Nie mam pewności, czy na takim fundamencie można budować dyskurs w naukach szczegółowych. Mamy tu do czynienia z uniwersalną oczywistością.

G.W.: Mówiąc w skrócie, że semiologia jest przeniesieniem teorii strukturalnej na inne, szeroko rozumiane systemy znakowe, a nawet na takie sfery rzeczywistości, o których wcześniej nie myślano w kategoriach znaku i kodu. Taką możliwość zresztą dostrzegali już w swojej teorii Ferdinand de Saussure. Wspaniałą semiologiczną analizą kultury japońskiej jest książka Barthesa *Imperium znaków* z 1970 roku, w której dokonując szczegółowych analiz różnych składników tej kultury, próbuje określić odmienność japońskiego systemu semiologicznego w stosunku do zachodniego. Miałyby ona polegać na tym, że kultura japońska nie czyni znaków przezroczystymi, nie zaciera ich semiotycznego charakteru. Idea realizmu, tak jak go rozumiemy w Europie, byłaby więc w kulturze japońskiej nie do pomyślenia. Tak semiologia wyglądała we Francji, jednak, jak się zdaje, największe sukcesy odniosła w Związku Radzieckim.

M.G.: Tam pojawiła się duża grupa znakomitych specjalistów w latach sześćdziesiątych, byli to uczeni młodego pokolenia. Nie pamiętam, kto to pisał, że w ZSRR językoznawcami zostawali ci, którzy chcieli zyskać jakąś niezależność, a w innych sytuacjach byłiby filozofami, psychologami, historykami... To była rzeczywiście wybitna ekipa. Część z jej członków wyemigrowała. Korzystając z okazji, osiedli w różnych miejscach świata i ich oddziaływanie było duże. Również w Polsce. To już nie było naśladowanie, to już nie było przenoszenie wzorów „przodującej nauki radzieckiej”, w tym przypadku związku

intelektualne były autentyczne. Pamiętam przyjazdy tych kilku wybitnych semiologów rosyjskich, bo to byli na ogół Rosjanie, i rzeczywiście, to też był składnik nauki światowej. Tego nie można zapominać. Roman Jakobson wyobrażał sobie, że Polska stanie się centrum badań semiologicznych, dlatego że – z jednej strony – są u nas wybitni uczeni, którzy się tym zajmują, z drugiej zaś, że Polska ma dane, by stać się miejscem kontaktowym. Tu powstało Towarzystwo Semiotyczne, łączące językoznawców, badaczy literatury, logików, filozofów, a także innych humanistów. Nie umiem na ten temat więcej powiedzieć, bo niewiele wiem. Wizję Polski jako kraju łącznikowego, odgrywającego dużą rolę w międzynarodowej nauce zburzyły wydarzenia roku 1968, stało się to niemożliwe. Mamy tu smutny i żalostny przykład tego, jak ciemnogrodzkie inicjatywy, tendencje polityczne spod ciemnej gwiazdy oddziałują na życie naukowe. Żywie przekonanie, że Jakobsonowska idea badań semiotycznych mających swoje centrum w Warszawie była całkiem realna. Po Marcu kontakty z nauką światową zostały ograniczone, nie było już szans na organizowanie kongresów, sympozjów, spotkań.

Semiologia miała być czymś w rodzaju nadnauki – niewątpliwie łączyła się ze strukturalizmem. Wówczas wszedł w szerszy obieg termin „narratologia”, z tym że był pojmowany trochę inaczej niż obecnie. Przez narratologię rozumiano tego typu analizy, jakich dokonywał Propp, o którym już mówiliśmy. Pracowałem wtedy nad książką o powieści młodopolskiej. Myślę, że jest to praca z zakresu narratologii. Zdałem sobie wówczas sprawę, że narratologia w wersji Proppa nie jest odpowiednim narzędziem do opisywania utworów literackich, które nie powstają jako programowe realizacje wzorców, są zaś w zamierzeniu dziełami oryginalnymi, w jakich żadne z góry przyjęte wzory jako wartość nie istnieją. One *de facto* istnieją, ale inaczej. Kiedy się zajmowałem powieścią młodopolską, to analizowałem narrację rozumianą jako fakt opowiadania.

Chciałbym wspomnieć o inspiracji, która nie wywodziła się bezpośrednio z badań strukturalnych, lecz z tradycji anglo-amerykańskich prac o teorii powieści. Na pierwszym miejscu wymienię książkę Wayne’a Booth’a *The Rhetoric of Fiction*. Jest to znakomite dzieło, wydane w roku 1961, w którym śladów narratologii w sensie Proppowskim nie ma, natomiast jest to wspaniała książka o języku narracji, o sytuacjach narracyjnych, o punkcie widzenia. To była tradycja, którą czasem określano jako tradycję Jamesowską, od Henry Jamesa, który był nie tylko wielkim pisarzem, był również nowatorskim teoretykiem powieści na przełomie XIX i XX wieku. Sporo prac z tego zakresu przeczytałem. Wskażę tutaj obok Booth’a jako autora książki podstawowej, Davida Daiches’a i Iana Watta; ich prace ukazały się w przekładzie w znakomitej serii „Biblioteka Krytyki Współczesnej”. Tych prac było dużo, były one inspirujące. Pokazywały, jak się opowiada w powieści. Mnie to było zdecydowanie bliższe niż wyodrębnianie poszczególnych sekwencji fabularnych na wzór Proppa. Ten typ badań genologicznych przez pewien czas nie uchodził za narratologię, ale wkrótce stał się główną jej

dziedzina. Jeśli tak można powiedzieć, narratologia w wersji Proppa była narracją bez opowiadania. W niej liczyły się tylko części, które się zestawia. Natomiast dla mnie ważna była sprawa podmiotu narracyjnego, ważna była sprawa punktu widzenia, ważna była sprawa kształtowania dialogu. To też się łączyło, między innymi, z problematyką Bachtinowską, czyli wszechwiedzy narratora i jej ograniczeń, przede wszystkim jego autorytatywności, a także mowy pozornie zależnej.

Ze sprawą tak rozumianej narratologii wiązała się problematyka odbioru dzieła literackiego. Wyłynęła ona w niemieckiej nauce o literaturze w latach sześćdziesiątych, dodam, że pod sporym wpływem słowiańskim dzięki trzem pionierom w tej dziedzinie: romaniście Hansowi Robertowi Jaussovi, Haraldowi Weinrichowi, językoznawcy z pogranicza poetyki i lingwistyki, oraz angiście Wolfgangowi Iserowi. W przypadku Jausssa bardzo ważna była inspiracja czeska, a w przypadku Isera – Ingarden. Mnie ta problematyka zainteresowała w połowie lat sześćdziesiątych. Wygłosiłem wtedy referat na sesji poświęconej językowi literatury. Nazywał się *Wirtualny odbiorca w strukturze utworu poetyckiego*. Myślę, że byłem pierwszy, który ten temat w Polsce podjął. Ważne były dla mnie przede wszystkim dwie inspiracje. Tak jak w przypadku Jausssa czeska (prace Felixa Vodički), ale przede wszystkim inspiracja pracami Ingardena o strukturze dzieła literackiego. Ingarden terminu „struktura” nie używał, ale można słowem tym się posłużyć bez obaw, że się sprzeniewierza sławnemu filozofowi. Skoro o tych sprawach mówię w sposób bardziej osobisty, nawiązuję do własnych doświadczeń, dla mnie czymś niezmiernie pobudzającym, ważnym, istotnym były tylko pewne elementy teorii dzieła literackiego Ingardena. Jest charakterystyczne, że właściwie nie ma prac o literaturze, które byłyby realizacją całej Ingardenowskiej koncepcji dzieła literackiego, bo to jest niemożliwe. Wyznam, że teoria wielowarstwowości wydaje mi się wątpliwa.

G.W.: Ona się odnosiła do pewnej konwencji literackiej czy pewnego typu literatury. Dla Ingardena powieść to...

M.G.: to był Sienkiewicz! Zdumiewające, jego wzorem, i to trzeba powiedzieć, była, wyjąwszy poezję, literatura realistyczna, a więc solidna, dziewiętnastowieczna powieść. W liryce było lepiej, powoływał się, o ile pamiętam, na Mickiewicza i Rilkego. Sprawa wielofazowości, wielowarstwowości dla mnie nie była istotna, dla mnie inspirujące było co innego. To była idea miejsc niedookreślenia i idea konkretyzacji. To było niezwykle pobudzające, dlatego, że wskazywało na niezmiernie ważne elementy dzieła literackiego, a w szerszej perspektywie, każdej wypowiedzi. Mówienie ludzkie jest tak skonstruowane, tak zaprogramowane, że nigdy nie można powiedzieć wszystkiego, zawsze coś musi być w domyśle, coś musi być przemilczane, coś musi być wskazane aluzyjnie. Ingarden uczynił te właściwości dzieła literackiego podstawowymi elementami jego struktury. On się zajmował nie tylko podmiotem mówiącym.

G.W.: Spojrzał na dzieło literackie jako na rzecz przeznaczoną do czytania.

M.G.: To zaś pozwalało od nowa spojrzeć na strukturę dzieła literackiego ogólnie, ale też stawało się komponentem interpretacji. Koncepcja Ingardena oddziaływała na polską naukę o literaturze, myślę, że to jest najżywszy element jego filozofii dzieła literackiego w skali światowej. To jest rzeczywiście coś wspaniałego. W tym ujęciu odbiorca dzieła literackiego jest elementem samego dzieła. Dzieło jest pewną propozycją dla czytelnika, a jak to czytelnik naprawdę czyta, to już jest inna sprawa. To jest domena badania świadectw lektury, które w pewnych epokach są liczne; jeśli chodzi o epoki dawniejsze, jest ich z natury rzeczy mniej, nie było prasy, nie było krytyki literackiej w sensie nowożytnym. Każde dzieło literackie jako sytuuje swojego odbiorcę, coś mu proponuje, ta propozycja może być przyjęta, może być odrzucona.

G.W.: Ten założony czytelnik, to jest to, co nazwałeś „wirtualnym odbiorcą”.

M.G.: Wtedy, pięćdziesiąt lat temu, słowo „wirtualny” nie było tak często używane jak dzisiaj. Wirtualny w tym sensie, że założony przez dzieło, że nie jest to czytelnik rzeczywisty. To dotyczy jego usytuowania. W pewnych utworach znajdują się bezpośrednie do niego zwroty („A ty, drogi czytelniku...”). Takie ujęcia spotykamy w klasycznych powieściach przedrealistycznych. Chodzi tu o zjawisko uniwersalne, nie tylko o apele typu „wy, którzy Pospolitą Rzeczą władacie”, jak się dzieje u Kochanowskiego, który – mówiąc dzisiejszym językiem – zwraca się do elity rządzącej, ale o fakt, że jest to element każdego utworu. W poetyce powieści realistycznej na tego typu bezpośrednie zwroty do czytelnika w zasadzie nie ma miejsca, ale przecież tam też jego pozycja jest tak czy inaczej określona. W przypadku powieści, nazwijmy to, dydaktycznej czytelnik jest tak modelowany, że ma być posłusznym odbiorcą tego, co mówi opowiadający, osobowy bądź nieosobowy. Oczywiście, dzieła mogą być odczytywane nader rozmaicie. Klasyczny przykład, nie pamiętam, u kogo to czytałem, stanowi przypadek czwartej eklogi Wergiliusza, którą niezwykle ceniono w średniowieczu. Powstała ona kilkanaście lat przed narodzinami Chrystusa i w średniowieczu była czytana jako tekst prorocki, czyli zapowiadający przyjście Mesjasza. Oczywiście Wergiliusz nie był prorokiem i nie mógł tego tak pomyśleć, ale to była obowiązująca wykładnia interpretacyjna. Wykładnie mogą być wysoce zróżnicowane. Z tym że podejmowanie kwestii odbiorcy założonego, wirtualnego, nie równa się badaniom konkretnego odbioru. To są inne dziedziny. Jeśli ktoś pyta, jak była czytana *Lalka* przez współczesnych, to jest to pytanie zasadne, tylko z zupełnie innej parafii. To jest pytanie, na które można odpowiedzieć, jeśli się czyta recenzje, artykuły, przygodne uwagi itp.

G.W.: Tak zwane świadectwa odbioru.

M.G.: Tak. Świadectwa odbioru mogą się pokrywać z tym, co jest założone w tekście, ale nie muszą, i to jest ważna sprawa dla historyka literatury, jak to się działo, czy to się nakładało, czy to się nie nakładało, jak w przypadku czwartej eklogi Wergiliusza.

G.W.: Można powiedzieć, że z jednej strony dzieło literackie projektuje swego czytelnika i pewien sposób odbioru, z drugiej strony istnieje coś takiego, jak style odbioru, to pojęcie również wprowadzone przez ciebie czy – mówiąc językiem amerykańskich pragmatystów – wspólnoty czytelnicze, które dostarczają pewnych wzorów lektury, postępowania z dziełem literackim. Owe style czy wzory czytania są historycznie zmienne i leżą u podstaw tego, co nazywamy historią recepcji literatury.

M.G.: Problematyka odbioru otwiera naukę o literaturze na różne problemy. I tu chciałbym powiedzieć o zjawisku, które bym nazwał paradoksem Ingardena. Interesowało go dzieło literackie, tak jak mogło interesować fenomenologa, czyli nie przez funkcjonowanie, lecz przez swoją istotność. Paradoks Ingardena polega na tym, że ten fenomenolog nakierował badania literackie na problematykę, która dla niego mogła być drugorzędna, która w wymiarze empirycznym go nie interesowała, i umożliwił poetykę socjologiczną, umożliwił badania komunikacji literackiej. Starłem się to w swoim czasie pokazać w artykule *O konkretyzacji*, trochę późniejszym, ale też z tamtych lat. Ingardenowska koncepcja miejsc niedookreślenia i konkretyzacji otworzyła nowe pola refleksji w nauce o literaturze. Problem odbiorcy został w pewnym sensie uogólniony i z tego właśnie wyłoniła się problematyka komunikacji literackiej. Jest to nie tyle pochodna strukturalizmu, ile jeden z jego elementów. I tu również polska nauka o literaturze ma swoje wyraźne osiągnięcia. Doskonałym przykładem są rozprawy Aleksandry Okopień-Sławińskiej dotyczące tej problematyki, powstałe przed kilkudziesięciu laty, ale żywe także dzisiaj. Problematyka odbiorcy, która się poszerzyła o problematykę komunikacji literackiej, stała się podstawą rozwoju pewnego typu socjologii literatury. Wydawało się, że ujęcie socjologiczne jest sprawą podstawową dla marksizmu, ale w pracach socjologiczno-literackich wychodzących od niego to właściwie była kontynuacja koncepcji pozytywistycznych. Dzieło literackie było określone przez to, że w życiu społecznym były takie, a nie inne ...

G.W.: stosunki społeczno-ekonomiczne, czyli klasowe.

M.G.: Natomiast, jeśli się ujmie socjologię literatury od strony problematyki odbioru, to jest to coś zupełnie innego. Chodzi o to, że utwór literacki rozpatrywany jest nie jako wynik sytuacji społecznej (tej sprawy też nie należy zaniedbywać), ale jako czynnik dynamiczny, tworzący nowe sytuacje. Mówiłbym o niedeterministycznej socjologii literatury. Dalej, tu może często chodzić o doświadczenie indywidualne, ale może chodzić również o to, jak odbierano dzieło, czy to w pewnych grupach społecznych, czy w pewnych sytuacjach historycznych. Problemy odbiorcy wpisanego w arcydzieła polskiego romantyzmu są wciąż do podjęcia. Tak rozumiana socjologia literatury nie może pomijać tego rodzaju spraw.

G.W.: Chciałbym, żebyśmy podjęli temat następny, również w sensie chronologicznym,

biorąc pod uwagę historię strukturalizmu w Polsce, mianowicie zjawisko jego ekspansji na inne pola naukowe niż badania literackie.

M.G.: Można zauważyć, że w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wielką karierę i w pewnych nurtach badań lingwistycznych, i w poetyce zrobiła kategoria tekstu. Dla naszej problematyki jest to niewątpliwie ważne, gdyż stawia pytanie, czy te metody analizy, które w pierwszej kolejności i najbardziej subtelnie zostały wypracowane po to, żeby nimi operować w opisie dzieła literackiego, stosują się również do innego typu tekstów. Jest to bardzo ważna sprawa, tym bardziej, że pierwotnie, a właściwie także wśród niezbyt świadomych rzeczy oponentów strukturalizm był traktowany jako kierunek estetyzujący, którego celem jest oderwanie dzieła literackiego od wszelkiej rzeczywistości, i że te metody właściwie nie mają żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Otóż, było to przeświadczenie całkowicie fałszywe. Te metody analizy, które największe zastosowanie, temu nie przeczę, zyskały w nauce o literaturze, dały się stosować do wszelkiego rodzaju tekstów. Można, a w istocie należy tymi metodami analizować wszelkiego typu teksty. To nie jest akt wartościujący, tu nie chodzi o aksjologię, chodzi o zrozumienie, jak dany tekst jest zrobiony i co z tego wynika. Chodzi o pokazanie jego znaczenia i funkcji. W tym sensie tego typu problematyka, z którą wiąże się strukturalizm, jest ściśle połączona z problematyką retoryki.

Przez ileś dziesięcioleci retoryka była traktowana jako zacny zabytek, ale tylko zabytek. Retorykę na wiek z okładem zmarginalizował romantyzm, bo za koncepcjami retoryki kryje się problem tekstu jako swoistego typu oddziaływania, natomiast w estetyce romantycznej oddziaływanie było problemem praktycznym (również w romantyzmie polskim), ale estetyka romantyczna była estetyką ekspresji. I w tym sensie romantyzm pogrzebał retorykę na długo. Była ona przez długi czas jedynie przedmiotem badań historycznych, bardzo skądinąd cennych, zajmujących się przede wszystkim retoryką antyczną, ale kategorii retorycznych nie stosowano do tych przekazów, które rozdziły się już poza kulturą retoryki. Chcę tu wskazać na ważną podręcznikową książkę Jerzego Ziomka pod tytułem *Retoryka opisowa*, już, niestety, opublikowaną jako *opus postumum*.

To jest znaczące i charakterystyczne, że metody analizy tekstu nie ograniczają się do dzieła literackiego, ale mają, albo przynajmniej mogą mieć zasięg uniwersalny i odnosić się do wszelkiego rodzaju przekazów słownych. Mogą to być przemówienia, kazania, teksty urzędowe, ale także publicystyka i rozprawy naukowe. Dla historii nauki jest to sprawa bardzo ważna. Tu strukturalizm, który został wypracowany w nauce o literaturze, proponuje wzorce i procedury przedstawicielom innych dyscyplin. Czasem w pewnych dziedzinach teksty są analizowane tak, jakby nie były napisane, sfera języka jest całkowicie pomijana. Analizuje się je tylko jako przekazy ideologiczne, faktograficzne itp. Kiedy czytałem, wybitne skądinąd prace przedstawicieli warszawskiej szkoły historii

idei, to miałem niekiedy takie wrażenie, jakby oni, a przynajmniej niektórzy z nich, nie zdawali sobie sprawy, że te przekazy, którymi się zajmują, są napisane, osadzone w pewnego rodzaju języku, że zawierają pewną wizję podmiotu i pewną wizję odbiorcy. Nie ma czystych idei. Są idee tkwiące w języku i w pewnych wzorcach mówienia czy w pewnych strukturach, jeśli ktoś woli.

G.W.: Z tego punktu widzenia książka Zofii Stefanowskiej *Historia i profecja* jest rzeczą wybitną. To jest książka z 1962 roku z zakresu historii idei, ale uprawianej z pełną świadomością dyskursywnego wymiaru konstrukcji myślowych.

M.G.: Użyłeś formuły „dyskursywny wymiar”. Dyskurs jest wzorcem budowania wypowiedzi, w której można brać pod uwagę elementy ściśle pojęciowe, ściśle intelektualne, ale i to, jak one są przekazywane, jak one są osadzone w pewnych tradycjach, w pewnym języku. W tym zakresie dużą rolę odegrało oddziaływanie strukturalizmu. I w Polsce, i gdzie indziej. To jest jeden z jego największych sukcesów metodologicznych i poznawczych, dlatego że to pozwala spojrzeć inaczej na wiele tekstów. Nastąpiło bardzo interesujące spotkanie historyków z badaczami literatury. Chciałbym zwrócić uwagę przede wszystkim na zasługi uczonego amerykańskiego, świetnie znanego w Polsce, nawet znanego osobiście, bo on był u nas wielokrotnie, Haydena White’a. Kilka jego książek ukazało się po polsku, miał w naszym kraju wykłady i prowadził seminaria. Miałem okazję go poznać, bo, że tak powiem, w moim seminarium ustąpiłem mu kiedyś miejsca na półtorej godziny. Jest to wielkiej klasy uczoney.

G.W.: Najbardziej znane dzieło White’a, *Metahistory*, jest analizą sposobów przedstawiania historii przez wybitnych dziejopisów francuskich w XIX wieku. Interesowało go nie tyle to, o czym oni piszą w swoich dziełach, ale to, w jaki sposób to robią.

M.G.: Uważam, że jest to wielka książka, niezwykle nowatorska, między innymi przez to, że on zastosował kategorie i narzędzia poetyki do analizy tekstów historiograficznych i to mu pozwalało na całkowitą zmianę perspektywy. On nie ograniczał się do analizy tego, co Michelet lub de Tocqueville pisali na taki czy inny temat, on pokazał ich uniwersum mentalne. Pokazał, jak oni opowiadają o świecie, i żeby to przedstawić, sięgnął po narzędzia poetyki w jej wersji strukturalistycznej. To spotkanie wielkiego historyka, także innych historyków, jak Frank Ankersmit, a także historyków w Polsce z analitykami literatury jest faktem o podstawowym znaczeniu. Hayden White uświadomił sobie, że nie można dzieł historycznych analizować tak, jakby się sprowadzały do zapisu abstrakcyjnych idei. Czytałem tę *Metahistorię* pod koniec lat siedemdziesiątych, albo na początku osiemdziesiątych, książka zrobiła na mnie wielkie wrażenie, bo pierwszy raz wtedy spotkałem się z tak świetną analizą wynikającą z zastosowania narzędzi znanych nauce o literaturze do innej odmiany pisarstwa. Dla mnie była to problematyka niezwykle żywa, bo korzystając ze swych doświadczeń osoby zajmującej się poetyką, analizowałem bieżącą propagandę. Różnica wszakże polegała na tym, że White zajmował

się wybitnymi przykładami pisarstwa historycznego, ja zaś zajmowałem się PRL-owskim śmietnikiem.

G.W.: Pozostańmy jeszcze chwilę przy naszej problematyce. White stosuje w wielkiej skali analizę literacką do tekstów, które do tej pory takiemu ujęciu nie podlegały. Na tym polega jego nowatorstwo. Interesuje go historiografia jako narracja, jako wypowiedź, która posługuje się metaforami i innymi chwytami o charakterze pisarskim. Jego pierwszy, wydany w Polsce wybór tekstów nosi znaczący tytuł *Poetyka pisarstwa historycznego*.

M.G.: White utrzymywał ściśle kontakty z polskimi uczonymi, w tym z Ewą Domańską. Przypuszczam, że wspomniany przez ciebie tytuł pierwszego polskiego wyboru jego prac był z nim konsultowany, albo wręcz uzgodniony. White to wybitny nowator w humanistyce ostatnich kilkadziesiąt lat.

G.W.: Zakwestionował pochodzącą od Arystotelesa opozycję „historii” rozumianej jako domena obiektywnego opisu rzeczywistości i „fikcji” jako środka szeroko rozumianej poezji. To rzeczywiście wielkie osiągnięcie, podważyć jeden z fundamentów świadomości humanistycznej Zachodu.

M.G.: Czytałem prace White’a z profesjonalną satysfakcją; my, skromni specjaliści od literatury, nagle znaleźliśmy się w centrum dociekań humanistycznych. W tym kręgu oddziaływanie nauki o literaturze jest bezdyskusyjne i niepodważalne. Sposób pisania staje się w tego typu analizie współkomponentem sensu. Myślę, że jesteśmy, mimo że ta pierwsza wielka praca Haydena White’a została ogłoszona w roku 1973, jeszcze dość daleko od wykorzystania wszystkiego, co daje się wykorzystać. Można sobie wyobrazić podobną książkę o poetyce pisarstwa filozoficznego. Tym bardziej, że wielu wybitnych filozofów to w swojej dziedzinie pisarze, podobnie jak znakomici historycy. Analizom tego typu podlegać mogą zresztą przeciętne publikacje autorów z ostatnich szeregow. Opisywanie śmieci, zwłaszcza jeśli są charakterystyczne dla danej epoki, to zajęcie sensowne i na swój sposób dające satysfakcję.

G.W.: Na pisarski, językowy, dyskursywny wymiar filozofii wskazali krytycy reprezentujący nurt zwany dekonstrukcją. Ale można sobie także wyobrazić prace dotyczące poetyki pisarstwa socjologicznego...

M.G.: Każdej dziedziny humanistycznej. To, uważam, jest niezwykle sukces dyscypliny, którą reprezentujemy. Wydawało się, że dyscypliny pobocznej, w pewnym sensie narcystycznej, wsobnej, takiej, która nieustannie coś przejmuję z innych dyscyplin, ale nic, albo niewiele daje od siebie. A tu się sytuacja zmieniła o sto osiemdziesiąt stopni. Sprawa oddziaływania nauki o literaturze czy studiów poetologicznych, w ogóle analizy wszelkich rodzajów tekstów, dotyczy również tekstów użytkowych. Już wspomniałem o retoryce. Pierwszym przykładem takich procedur jest klasyczna retoryka i jej mutacje historyczne. Tymi metodami warto analizować szeroko rozumiane teksty polityczne.

Myślę, że tak się dzieje w dużej mierze. Ważna jest także społecznie analiza tego rodzaju zjawisk, jak metafory używane przez polityków czy typy zwrotów do społeczeństwa. Analiza rodem ze strukturalizmu literaturoznawczego ma kolosalne znaczenie i – co najważniejsze – kolosalne perspektywy. Myślę, że jesteśmy u początku drogi.

G.W.: Mówiliśmy o zastosowaniu instrumentarium strukturalistycznego do analizy tekstów nieliterackich jako jednym z przejawów oddziaływania strukturalizmu literaturoznawczego. Strukturalizm także silnie oddziałał najpierw na dydaktykę uniwersytecką, a w konsekwencji na dydaktykę szkolną. Ten wpływ strukturalizmu na czułą ideologicznie w PRL-u sferę edukacji jest zaskakujący. Nieoczekiwanie strukturalizm zagrał tutaj partię pierwszych skrzypiec.

M.G.: Zagrał. Na to złożyło się wiele elementów. Mianowicie to, że poszerzono repertuar dydaktyczny konieczny do zaliczenia studiów polonistycznych. Dawniej, kiedy byłem studentem, ćwiczenia z poetyki odbywały się przez rok i to wszystko. Po Październiku, o czym już mówiłem, nastąpiły dobre czasy dla poetyki, mimo że w tej dziedzinie działało niewielu specjalistów. Mogę o tym mówić na podstawie własnego doświadczenia. To był początek lat sześćdziesiątych. We trójkę, czyli państwo Sławińscy i ja (wówczas bardzo młodzi debiutanci), każde z nas co trzy tygodnie jeździliśmy do Gdańska, by mieć wspólnie kursowy wykład. W roku akademickim 1969–1970 prowadziłem dla trzeciego roku polonistyki i anglistyki wykład z teorii literatury na Uniwersytecie Jagiellońskim. W ciągu kilku lat uformował się dobrze wykształcony zespół specjalistów, czemu sprzyjały konferencje teoretyczno-literackie, nazywane lutowymi, dlatego, że odbywały się w przerwie semestralnej. Inna rzecz, ważniejsza, że to miały być konferencje młodszych pracowników naukowych, bo tak je pomyślał ich twórca i inspirator Kazimierz Budzyk. Dzięki nim środowisko interesujące się poetyką doskonale się poznało. Powstawały kolejne katedry. Łączyło się to z wyraźną dezideologizacją dydaktyki uniwersyteckiej. Po 1989 roku wpadł mi w rękę artykuł napisany przez jakiegoś mędrka (nawiasem mówiąc z tytułem profesora), który interpretował pozycję strukturalizmu i ten typ zainteresowań, i ten typ dydaktyki jako przejaw nacisku ideologicznego PRL-u. Było akurat przeciwnie. W tego typu dydaktyce zanikał problem marksizmu, zanikał problem aktualizacji ideologicznych, bo to po prostu byłoby nie *à propos*. Uważam, że rola społeczna strukturalizmu właśnie może nie tyle dzięki tym bardzo szczegółowym pracom typu poznawczego, adresowanym z natury rzeczy do specjalistów, ale za sprawą przenoszenia tego rodzaju problematyki najpierw na wyższe uczelnie, a potem przez ich absolwentów do szkolnictwa średniego, była bardzo ważna. Przez dwadzieścia lat prowadziłem seminarium w Szkole Nauk Społecznych (założonej przez Stefana Amsterdamskiego przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN), interdyscyplinarne, przez pewien czas dotyczyło ono literatury na temat Zagłady. Postarałem się o to, żeby w związku z tym seminarium przygotowana została książka zbiorowa

poświęcona tej literaturze. Jeden z młodych ludzi, historyk, powiedział, że chce w tym uczestniczyć. Byłem zdziwiony i dość sceptyczny, ale on potem dał mi doskonałą pracę o trenach Stanisława Wygodzkiego. Zapytałem: proszę pana, pan jest historykiem, czy pan również studiował polonistykę, bo mnie zdumiał pański świetny warsztat. On odpowiedział: nie, w liceum nauczyła mnie tego nasza pani od polskiego. Zapytałem, kim jest ta znakomita pani od polskiego? Odpowiedział, że absolwentką Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Wtedy wszystko zrozumiałem. Tu chodzi o utalentowanego historyka, Bartosza Kaliskiego. Profesjonalność analizy tekstu poetyckiego zaimponowała mi.

G.W.: Ta historia świadczy, w pierwszej kolejności, o talencie tego młodego uczonego, ale też o zakresie oddziaływania polskiego strukturalizmu, konsekwencjach waszej, zdawałoby się, raczej ekskluzywnej pracy.

M.G.: Ja ze szkołą średnią poza tym, że doszedłem do matury, z trudem zresztą, bo byłem złym uczniem, nie miałem prawie żadnych kontaktów, poza jednym wyjątkiem, od 1973 roku uczestniczyłem przez wiele lat w pracach jury Olimpiady Polonistycznej. Najpierw również sprawdzałem prace pisemne, potem już tylko pytałem w finale. Muszę powiedzieć, że czasem umiejętność analizy tekstu poetyckiego i wiedza tych młodych ludzi naprawdę była znakomita. Radykalne podwyższenie się poziomu zaczęło się w połowie lat siedemdziesiątych. To mi się wydaje zrozumiałe, dlatego że do szkół weszło nowe pokolenie nauczycieli już wykształconych w zakresie poetyki. Zresztą podniósł się również bardzo wyraźnie poziom prac pisemnych i poziom konkursowy językoznawstwa.

G.W.: Tutaj dużą rolę odegrała profesor Bożena Chrzęstowska z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, która wiele pracy poświęciła przekładaniu akademickiej teorii literatury i poetyki na praktykę dydaktyczną.

M.G.: Otóż osobą, która przez lata zajmowała się przenoszeniem tych umiejętności, była niezwykle zasłużona i dla szkoły, i dla polonistyki. Bożena Chrzęstowska, znakomita metodyczka, przez lata redaktor naczelna pisma „Polonistyka”, przeznaczonego dla nauczycieli. Profesor Chrzęstowska z profesorem Seweryną Wysłouch wydały rodzaj, można powiedzieć, wulgaty podręcznikowej, czyli książkę z zakresu teorii literatury i poetyki dla szkół *Poetyka stosowana*. Wielką zasługą jest to, że w dydaktyce, i to nie w dydaktyce najwyższego szczebla, uniwersyteckiego, tylko w dydaktyce praktykowanej w szkole średniej, uformował się kierunek niezależny od nacisków partyjnych, że wszedł on w taką metodologię, która była nowatorska. Nie tak dawno rozmawiałem z bardzo zasłużoną nauczycielką warszawską, panią Barbarą Luftową, która przez lata była członkinią jury Olimpiady Polonistycznej. Powiedziała mi ona: z początku mnie się bardzo nie podobał ten kierunek, który państwo nadawali Olimpiadzie, nie akceptowałam tego, iż nie mówiło się o wartościach, nie mówiło się o wybranych tradycjach polskich, ale gdy

patrzę na to z perspektywy, to widzę, że państwo mieli rację, a to, co robiliście, miało sens. Mnie te słowa, wypowiedziane niedawno, ucieszyły jako podsumowanie wieloletniej działalności.

Rozmowa niniejsza powstała w trakcie pracy nad książką, która ukaze się jesienią bieżącego roku nakładem Wydawnictwa Wielka Litera.

On Polish structuralism

The object of our deliberations is structuralism in literary studies, whose beginnings in Poland can be traced back to the thirties of the 20th century. It was developing at two centres at the time: at the Stefan Batory University in Vilnius, around Professor Manfred Kridl, and at the University of Warsaw. Structuralism was reborn in Poland in the sixties and it impacted all of literary studies; its main centres were: the Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences and the Adam Mickiewicz University in Poznań. Focusing on the analysis of literary systems, it combined them with theory of text and interpretation of individual works, emphasizing their broadly understood linguistic, discursive and rhetorical properties. In the culmination stage of its advancement, it tackled the fundamental problems of our discipline, including those that were only starting to emerge, such as reception of literary works as intended by its structural properties, or intertextuality. Structuralism had (and still has) a strong impact on the entirety of literary studies in Poland. It also became a sphere of reference for researchers of the younger generation, who prefer newer methodological tendencies.

Key words: structuralism, semiotics, literary theory, history of literature, poetics, narratology